

# 665 Leśmian pechowiec czyli czym mogą się skończyć dalekie podróże

Stało się niepisana zasada, iż ostatnim akordem sezonu teatralnego jest przedstawienie dla dzieci. Nie może przy tym oprzeć się wrażeniu, że teatry starają się po prostu „odfajkować” ten administracyjny wymóg, zasilając przy okazji własny budżet. Robienie teatru dla dzieci nie jest rzeczą łatwą, czego dowiódł ostatni Festiwal Sztuk Dziecięcych w Wałbrzychu, ale też wysiłek w tej dziedzinie oplaca się stokrotnie.

Wyraźnie zmęczony (rzecz zrozumiała po tak „obfitym” sezonie) zespół Teatru Polskiego przygotował „Przygody Sindbada Żeglarza” na podstawie tekstu Bolesława Leśmiana, w reżyserii Marii Straszewskiej. Ponieważ nie czuję się specjalistą od tzw. teatru dziecięcego, na przedstawienie wybrałem się wraz z dwójką zaprzyjaźnionych malców — Kasią i Adasiem. Ośmioletni chłopiec był wyraźnie zdegustowany postawą Sindbada. Obraził się zresztą na niego już na początku spektaklu, stwierdzając: „Sindbad tak nie wygląda, ten jest podrabiany”. Nie było czasu na tłumaczenie, gdyż akcja posuwała się uparcie do przodu, a w teatrze rozmawiać nie wolno. Pierwszy akt Adaś zniósł dzielnie i powstrzymał się zarówno od zjedzenia ściskanego w ręce cukierka, jak i od uwag. W drugim jednak akcie stwierdził że „znów to samo” i spałaszował pod rząd 4 irysy nie przejmując się szelestem papierków, bardziej zainteresowany tym co dzieje się dookoła niego niż na scenie. Jedynie chwile kiedy pojawiał się Diabeł Morski przyciągały jego uwagę. Spytany na zakończenie o wrażenia stwierdził, że nie rozumie zupełnie dlaczego Sindbad (Marek Feliksiak) błąka się po całej scenie, aby w końcu ożenić się z dziewczyną, którą widzi po raz pierwszy i która raz się do niego odezwała. Nieco inna była postawa pięcioletniej Kasi. Przedstawienie jej się podobało, bo było kolorowe i miało piosenki.

Pora jednak przejść, aczkolwiek niekompetentnych, to jednak własnych, refleksji. Wydaje mi się, że ten z dużym rozmachem zrealizowany spektakl wyrządza niedodzia przystęgu... Leśmianowi i dzieciom. Równie dobrze mógłby się nazywać „Podróże Janka Wędrowniczka”, albo „Antek Włóczykij na autostopie”. Adaptacja sceniczna Leśmiana charakteryzuje się całkowitym odarciem go z tajemnicy. Zniknęła gdzieś mityczna atmosfera Orientu. Nawet cisza morska nie wywołuje napięcia i nie budzi grozy — przechodząc niepostrzeżenie niemal, po cichu. Nie udaje się również rozmieszanie widowni, chociaż dwoi się i troi Diabeł Morski przypominający pluszowego stworka do głaskania (Janusz Andrzejewski). Dziur i dłużyzn (bezbłędnie wylapywanych przez młodą publiczność) nie ratuje dobra scenografia, która wywołuje zainteresowanie i podziw dla inwencji Jacka Zagajewskiego. Szkoda, że w drugim akcie zaczyna się powtarzać. Nie pomaga również operetkowa oprawa muzyczna i choreografia. Dzieci w połowie przedstawienia wyraźnie są znudzone. Jak długo można wysiedzieć w krzesełkach, gdy na scenie niewiele się dzieje? Czy nie można by zaprosić małych widzów do wzięcia udziału w spektaklu, co poprawiłoby jego atmosferę? Oprawa techniczno-akustyczna przedstawienia, konsekwentnie do finału, potwierdziła po raz kolejny swoją wysoką... niesprawność. Sam finał zaś, tłumny i rojny, pokazał jak wiele osób pracowało nad tym, aby w 2 godziny zepsuć Leśmiana.

ROMAN RÓŻAŃSKI

B. Leśmian. „Przygody Sindbada Żeglarza”, adaptacja i reżyseria — M. Straszewska, scen. — J. Zagajewski, muz. — J. Millan, choreografia — W. Karst, premiera 2 czerwca 1985, Teatr Polski Wrocław.